

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

27)

Adaptacja z angielskiego.

— Milcz, panie Kasprze Trenoweth! Z przyjemnością słuchałbym wybuchów pańskiej wściekłości i beznadziejnego gniewu, gdyby nie brak czasu. Nie mogę nadto pozwolić, abyś przemawiał zbyt głośno, bo rozumiesz — i to mówiąc, wskazał nóż, leżący na kufrze. — A przytem, chciej z łaski swojej przypomnieć sobie, że przed północą muszę być pod Skałą Umarłego...

— Czarcie! — ciągnąłem dalej — możesz mnie zabić, lecz wraz z ostatniem tchnieniem wyrzucić ci będę wszystkie twoje zbrodnie! Odbierz mi życie, jak je odebrałeś druhowi memu, Tomaszowi Love-day, któremu zadałeś cios śmiertelny, sądząc, że uderzasz w pierś moją! Pozbaw mnie życia, bo pośrednio także pozbawiłeś życia Klarę, która...

— Klara! Klara umarła?! Powstał z zydła i cofnął się nieco w tył. W tej samej chwili, zdawało mi się, że słyszę jakiś szelest za ścianką z desek, o którą byłem oparty. Oczekiwałem chwilę milcząc, poczem, sądząc, że się prześlizgałem, mówiłem dalej:

— Tak, nie żyje! Zabiła się dziś wieczorem w teatrze... przeszła swe szlachetne serce sztyletem... O, Boże!... Czy mniemasz, że obecnie zleknie się twojego noża?... Miałem się utopić... w tym tylko celu wypłynąłem na rzekę, lecz posłyszawszy twój głos, wdarłem się na pokład... Wdarłem się, żeby zabić ciebie! Nie zwlekaj zatem... masz nademną przewagę, zamorduj mnie natychmiast! Litości nie żądam, bo przysięgam, że jak Bóg jest w niebie, nie ulitowałbym się dziś także nad tobą, chociaż miałem w życiu chwile, w których pragnąłem przebaczyć, nie ściagać cię więcej i pozwolić ci wymknąć się z rąk sprawiedliwości ludzkiej...

Co oznaczał szelest, który znowu doleciał moich uszu?

Colliver go nie słyszał. Zastanawiał się nad czemś i patrzył mi bystro w oczy.

— Nie ulituję się nad tobą — odpowiedział spokojnie — bo przysięgam nie mieć litości dla całego waszego rodu, którego ty jesteś potomkiem ostatnim. Lecz posłuchaj tego, co ci obwieszcze, abyś w ciągu krótkich chwil, jakie ci pozostają do życia, mógł wyżyć się głupiej próżności, z jaką wyrażasz się o swoich i dowiedzieć się, z jak mętnego źródła pochodzą bogactwa, które osiąść pragnąłeś... oraz, jak podłymi ludźmi byliście wy, Trenowethy. Na skarbie, spoczywającym u podnóża Skały Umarłego, ciężką przekleństwem zmarnych. Zbroczyła go krew ludzka, zrabowany został w ciągu długoletniego nikczemnego korsarstwa na pełnym morzu i wydarty wielu potopionym lub zabitym biedakom. Wydarł go twój dziad, podły łotr, Amos Trenoweth, nie jednej dzielnie broniącej się załodze okrętowej, a wymordowanej podstępnie i zdradziecko. Podobno wiesz coś nie coś o tem. Pozwól, że ci dopowiem resztę.

Zatrzymał się chwilę, poczem mówił dalej.

— Wiele dusz, przebywających obecnie w niebie lub piekle, wzywało mnie i wzywa jeszcze do spełnienia zemsty na rodzinie waszej, lecz śmierć twoja, Kasprze Trenoweth, napelni jedną z nich szczególniejszą radością. Pewny jestem, że musisz wiedzieć, iż na sumieniu twego dziada ciążyły liczne zbrodnie, nie znasz jednak najczarniejszej, jaką było zamordowanie najbliższego mu i najserdeczniejszego przyjaciela. Słuchaj! W krótkich słowach to opowiem, bo zanim życie ci odbiorę, nie mogę pozbawić się rozkoszy, jaką mi sprawia możliwość poinformowania cię o bezecnym czynie twego dziada. Dowiedz się za tem, że gdy Amos Trenoweth wzbogacił się dzięki pomocy udzielonej mu przez przyjaciela, gdy wraz z nim wspólnie odkrył tajemnicę istnienia i przechowania Wielkiego Rubinu, poszu kiwanego długie lata przez obu razem, w chwili, gdy już wiedzieli napewno, gdzie się znajduje i w jaki sposób zdobyć go należy, zwrócił się przeciw swojemu druhowi i zamordował go, aby ów Wielki Rubin osiąść sam na wyłączną własność.

Znowu milczał parę sekund.

— Wiem, że twój ojciec, niedołęga jakich mało, kreślił codziennie pamiętnik, który, przypuszczam, odczytywał nieraz. Prawdopodobnie zamieścił w nim opis spotkania się naszego na Wirchu Adama. Ujrzałem go wówczas ze złotą klamrą w ręku, siedzącego przy ohydny, rzeźbionym kamieniu. Kamień ten był karykaturalnem odtworzeniem oblicza

przyjaciela twego dziada, a kości, spoczywające pod nim, kośćmi tegoż druha. W tem samem miejscu, w którym spotkałem twego ojca, dziad twój, Amos Trenoweth, położył trupem mego ojca Ralfa Colli-vera... Ach! zaczyna ci się nareszcie rozjaśniać w mózgu! Tak, tak! Pod pozorem, że chciał niby obronić starego kapłana, posiadacza Wielkiego Rubinu, zamordował mego ojca tym samym nożem, który znalazłeś w sercu swego rodzica; zamordował go w oczach jego żony, na małym trawniku, zieleniejącym na zboczu góry. A gdy matka moja, zalana łzami, wzywała nieba o pomstę nad mordercą, podał jej nóż jeszcze świeżą krwią zbroczony i powiedział, szydząc z boleści nieszczęśliwej, że może z tem żelazem zrobić, co się jej spodoba. Ona go ukryła w zanadrzu, jak cenną relikwię... Czy zauważyłeś napis na nim wyryty?... O, panie Kasprze Trenoweth, nóż ten przechował trwale pamięć twojego dziada!

Poruszyłem się nieznacznie, pragnąc rozluźnić nieco kępujące mnie powrozy.

— Nie poruszaj się i pozwól mi mówić dalej! Po tym mordzie nikczemnym, dopuścił się on jeszcze podlegszego czynu: zmusił starego kapłana, niegdyś zręcznego rzeźbiarza, do wykonania wstrętnej parodii lic mego ojca na olbrzymim złomie skały, poczem, zamordował także i kapłana, oba zaś ciała pochował razem pod kamieniem... Takim skończonym lajdakiem był Amos Trenoweth! Czy możesz być dumny z posiadania podobnego przodka?... Nie znałem mego ojca, urodziłem się bowiem w trzy miesiące po zbrodni, i dopiero, gdy doszedłem do lat dziesięciu, matka zaznajomiła mnie z całą historią. Zbrodniarzem był twój dziad, panie Kasprze Trenoweth, lecz równocześnie i idyotą, bo kochając sam... a może nawet wzajemnie kochany... pogardził i opuścił ją obojętnie, chociaż była wówczas cudnie, zachwycająco piękną. Jak ją czas zmienił, wiesz sam najlepiej, poznałeś bowiem matkę moją w domu gry, przystrojonej w brylanty, zdobyte wspólnie przez obu przyjaciół w licznych morskich wyprawach.

Gdy to mówił, wyobrażenia odtworzyła mi w pamięci postać i twarz żółtej pani, o okropnych, czarnych, bezdusznych oczach. Zdało mi się, że słyszę jej straszny śmiech, gdy ze swej łoży patrzyła na moją ukochaną, konającą na scenie.

— Ach, piękność szybko mija! Utraciła ją ona raz na zawsze w dniu, w którym Amos Trenoweth, zelżywszy ją brudnemi słowami, gdy rozpaczała nad trupem męża, plunął jej w twarz szyderstwem dzi kiem i nieludzkim. Piękność mija szybko, lecz zemsta długo nieraz czekać musi na sposobną do spełnienia chwilę. Chwila ta, nadeszła nareszcie! Widma tysięcy zmarłych radować się dziś będą, patrząc jak ciało twoje uniesie prąd rzeki do morza... Lecz pozwól mi skończyć, bo już niewiele mam czasu na dalszą opowieść... Jak wychowała mnie matka w rytm... bo była i jest szaloną pod każdym względem, z wyjątkiem tylko nienawiści do Trenowethów i gorącej chęci pomśzczenia się na nich... wie tylko Bóg jeden! Chciała koniecznie, abym został marynarzem, tymczasem ja przyjąłem obowiązki dependenta u adwokata. Pominę jednak szczegóły, odnoszące się do tej epoki mego życia, żeby cię nie znudzić zbyt. Dość, że wśród spokojnych biurowych zajęć, myśl o zemście nie opuszczała mnie ani na moment, zwłaszcza, że mi ją matka przypominała nieustannie. Osiedliśmy oboje w Plymouth, tam bowiem mieszkał adwokat twego dziada.

Zastanowił się, jakby chciał sobie coś przypomnieć, poczem mówił:

— Z papierów w biurze złożonych, poznałem interes pańskiego dziadka, jednakże nie w pożądaną przeze mnie całość. O bogactwach, które nabył krwawymi środkami, nie dowiedziałem się nie mogłem. Dzięki informacyom matki, wiedziałem, że posiadanie przebrane skarby, myśl o których wprawiała mnie nieraz w wściekłość, a przecież wydawał się tylko skromnym właścicielem niewielkiej posiadłości ziemskiej, walczącym z trudnością o byt dostatni, jakby nie miał majątku wcale. Przekonanie to doprowadziło mnie do rozpaczy. Aż naraz, pewnego dnia, człowiek stary, wysoki i dobrze zbudowany, wszedł do naszego biura w celu widzenia się z pryncypałem. Kazał zaanonsować się jako Amos Trenoweth. Już wtedy chciałem go zabić! On prawdopodobnie nie domyślał się nawet, że dependencik, na którego nie zwracał uwagi, wytepi w przyszłości jego potomków i posiedzie skarb z Wielkim Rubinem Ceylonu, za zdobyte którego dyabłu zaprzedał duszę. Głos mój, dyszący nienawiścią, drżał mi w gardle, gdy anonso wałem i wprowadzałem go do pracowni pryncypała. Zamknąłem za nim drzwi, lecz co mówił, pod słuchiwałem pod niemi. Niedołęga! pragnął się dowiedzieć, w jakiej formie ma sporządzić testament

bo nie było mu wiadomem, że na mocy prawa cały majątek po jego śmierci przypaść musi w udziale synowi. Drwiłem z jego nieświadomości, zwłaszcza, że z tego, co opowiedział, dowiedziałem się wszystkiego, co mi mogło posłużyć do zarządzenia i doprowadzenia do skutku obławy na jego dziedzica Ezechiela Trenoweth. Mniej więcej w tymże samym czasie zakochałem się, lecz i w miłości pech mnie prześladował... I w tym względzie jednak cierpliwość moja odniosła zwycięstwo... Lucya Luttrell kochała Johna Railton. Był to także, jak wy wszyscy, niedołęga... Ona go pomimo to poślubiła i miała z nim córkę. Chciałbym wiedzieć, czy odgadłeś kim była ta córka?

Zatrzymał się i zmierzył mnie pogardliwie swym szatańskim wzrokiem.

— Psie! — zawołałem. — Jenny Railton, była Klarą Luttrell, czyli Klarysą Lambert, ty zaś zamordowałeś jej ojca tak, jak twierdzisz, że Amos Trenoweth zamordował twojego.

— Słowo w słowo prawda — odparł obojętnie. — Zabrałem się do kształcenia Railtona i w krótkim czasie zrobiłem z niego nałogowego pijaka, następnie zbrodniarza. Dziś jeszcze śmiech mnie zbiera, gdy o tem pomyślę! Nie było w nim cienia złych instynktów, gdy zacząłem go urabiać, a jednak wkrótce potem zabił twego ojca. Już w Bombaju próbował zgładzić go z tego świata, lecz wziął się do rzeczy nieudolnie, bez należytego przygotowania. Później jednak spał się wcale nieźle na „Fortunie“. Pożyczyłem mu nawet w tym celu mego noża... Byłbym chętnie sam przebił twego ojca tym nożem, lecz w krytycznej chwili Railton stał bliżej, a zresztą w takich razach lepiej być świadkiem, niż wykonawcą, bo tym sposobem w razie wykrycia mordu, trzyma się wszystkie atuty w ręku i łatwiej się wykreślić z kleszczy tak zwanej sprawiedliwości.

Co oznaczał ciągły szelest, dolatujący mnie z po za ścianki drewnianej?

Colliver i teraz go nie słyszał jeszcze, widocznie cały pochłonięty treścią swego opowiadania. W oczach jego gorzał ogień nienawiści, przemawiał niemal ciągle głosem spokojnym i słodkim.

— Już kilka dni posiadałem jedną połowę złotej klamry, którą twój ojciec-niedołęga upuścił w kajucie na podłogę i nie mógł znaleźć, chociaż szukał jej podobno dość długo... W czasie rozbicia się „Fortuny“, Railton przydybał go właśnie w chwili, gdy zamierzał rzucić się do wody... Patrzyłem na to, a jednak nie spostrzegłem, kiedy przywłaszczył sobie drugą połowę klamry i pudełko cynowe, bo, jakby na złość, zaraz potem olbrzymia fala załata pokład. Nie czekając na następną, wskoczyliśmy obaj niemal razem, do morza. Zdawało mi się, że Railton utonął, bo i ja, dzięki tylko niezmiernie szczęśliwemu przypadkowi uniknąłem śmierci. Gdy dopłynąwszy do skał, uczułem grunt pod nogami, wołałem na niego, lecz prawdopodobnie nie chciał odpowiedzieć, a może głos mój zagłuszyła burza. Więc wzajemnie mniemaliśmy o sobie, że każdy z nas zginał i dopiero na Skałę Umarłego przekonaliśmy się, że tak jeden, jak i drugi uszliśmy to-pieli... Czy mam powiedzieć wszystko?... Ba! czemu nie miałbyś wysłuchać całej historii?... Po śledztwie w Polkimbra, udałem się do Plymouth, powiedziałem Lucy, że jej mąż utonął... i koniec końców poprowadziłem całą sprawę tak gładko, że skłoniłem ją do opuszczenia miasta natychmiast... a następnie poślubiłem mnie. Tym sposobem tryumfowałem znowu... tryumfowałem na całej linii!

— Psie podły! — zawołałem.

Roześmiał się zwykłym swoim harmonijnym śmiechem i mówił dalej:

— No, gniewasz się widzę, lecz co mnie to obchodzi! Z wami, Trenowethami, mam stare rachunki do załatwienia, więc je załatwiam w miarę możliwości. Ty, panie Kasprze Trenoweth, trzy, cztery razy byłeś w mojej mocy i za każdym razem pozwoliłem ci się wymknąć. Raz u stóp Skały Umarłego trzymałem już w palcach twoją dziecinną szyjkę, lecz nagle nadejście rybaków sprawiło, że nie mogłem cię udusić. Idyoci! uwierzyli, że to mój widok cię przeraził i wywołał twe zemdlecie. Zemdlecie! Brakło pół minuty, a jużbyś nie żył. Nie masz pojęcia, jak się śmiałem w duszy, gdy twój wuj, istny pęcherz nadęty, przemawiał do mnie górnolotnie. Jakże się to ja wówczas nazywałem?... A! Giorgio Rodofani... Bądź co bądź, wymknąłeś mi się wówczas... Następnie, ani przypuszczasz, jak bliskim byłeś śmierci, a mianowicie zaraz po śledztwie, w nocy, gdy zajrzałem przez okno do waszego domu. Chciałem zabić cię i twoją matkę o bladej twarzy, lecz przyszło mi na myśl, że Railton porozumiewał się z tobą, więc lepiej będzie zaczekać...